

# MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

## Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

**poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek  
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.**

**Sprzedaż materiałów na metry.**

**WŁASNA PRACOWNIA.**

Fryderyk Mauzens.

## PARYSKIE GADY.

16

— Proszę! — odparł Karol Turner ze zmęczonym już uśmiechem.

— *Well!* Zauważono przed chwilą, iż pan nie podniósł do góry kołnierza od angleza... Panuje zwyczaj, iż przy pojedynku na pistolety, zakrywa się kołnierzyk i gors koszuli, wszystko co mogłoby służyć za cel przeciwnikowi...

— Tak — odparł niedbale Australczyk — mam jednak na sobie krawat, który mi się podoba... Nie chciałem go też chować w chwili, gdy tyle aparatów na mnie zwrócono...

Przy tej odpowiedzi dało się zauważyć w tłumie osób zebranych poruszenie, które w sprawozdaniach z zebrań publicznych określa się jako „długotrwałe wrażenie”.

— *Très chic! Très chic!* — powtarzał baron de Lagunan, który stał w pierwszym rzędzie razem z Maksymem Duret.

Słyszeli to miliarder i Joe Smith. Jeden z obecnych opowiedział im pokrótce scenę ze strzałem.

— *Very well!* — zaczął znowu korespondent dziennika angielskiego. — Czy można wiedzieć przyczyny pańskiego pojedynku?

— Nie.

— Dobrze! dobrze! Nie nalegam... Nie chcę być impotens...

— Co?... impotens?...

No! no! Impo... impo...

— *Importun!*

— *Yes! Importun!*

— Niech pan mówi po angielsku.

— *Aoh! You are right!*

I rozmowa potoczyła się po angielsku ku wielkiemu niezadowoleniu tych ciekawych, którzy nie znali tego języka.

— Zna pan francuski język daleko lepiej ode mnie — rzekł korespondent.

— Spędziłem część swego dzieciństwa w Biarritz — odparł Panajon.

— Czytałem wczoraj wieczorem, że pochodzi pan z jednej z najstarszych rodzin angielskich...

— Tak, z najstarszych i najslawniejszych!

— Nazwisko jednak Turner nic mi nie mówi.

— Nie jest ono moje własne... Jako młodszy syn bez majątku, wziąłem się do przemysłu, pozostawiając swe tytuły i herby tym krewnym, którzy nie byli zmuszeni zakładać fabryk, by zdobyć środki do życia. Turner jest to przybrane nazwisko, które nie razi nikogo, może bardzo dobrze figurować na puszkach z produktami spożywczymi lub na rachunkach... Prawdziwe me nazwisko, którego nie chcę wymieniać, nie odpowiadałoby dla handlu... Chociaż jestem uważany tylko za króla czekoladowego, lecz w żyłach mych płynie kilka kropel prawdziwej krwi królewskiej.

W istocie rzeczy, przemysłowiec, którego nazwiska Panajon nadużywał obecnie, nigdy nie był namaszcany na króla czekoladowego i nie pochodził wcale z wybitniejszej rodziny. Panajon jednak od chwili, gdy się przyoblekł w jego skórę, chciał uchodzić za człowieka niezmiernie bogatego i ze sławnej rodziny. Była to słaba strona Panajona, który specjalne zadowolenie znajdował w mistyfikowaniu ludzi i ich olśniewaniu. Syn ubogiego sklepikarza z prowincji, wychowany w bardzo skromnych warunkach, nie marzył o niczym innym, jak tylko o tytułach i milionach. Nie przeszkadzało mu to jednak porozumiewać się złodziejską gwarą z najgorszymi opryszkami, jak Tetard, lub też przebiegać się w frak lokajski albo bluzę robotniczą, gdy wychodził na nocne wyprawy. Zasiliwszy swą kie-

szę, wciskał się pomiędzy ludzi światowych, przybierając szumne nazwiska i ubierając się w najmocniejsze kostyminy.

Przy ostatnich słowach fałszywego Australczyka na twarzach obecnych, znających angielski język, dało się zauważyć nowe zdziwienie. Niewrażliwemu na to pozostali tylko obydwaj Amerykanie i Maksym Duret.

— Na tem jednak, drogi złomku — dodał zło dziej — proszę skończyć swój interwju. Odchodzę. Nie mogę pozwolić, by świadkowie moi tak długo na mnie czekali...

I stanowczym ruchem dał poznać obecnym, iż chce być już sam i skierował się pośpiesznie do bocznego przejścia. Poszli za nim tylko Duret, Raul de Lagunan, Amerykanie i obydwaj jego świadkowie.

Gdy znaleźli się sami, filantrop wziął Australczyka pod ramię i usuwając się z nim na bok, rzekł do obecnych:

— Panowie mi wybaczą, lecz dzisiaj nie będę już widział pana Turnera, a mam z nim do pomówienia w ważnej sprawie niecierpiącej zwłoki!

I zaczął rozmawiać z mniemanym królem czekoladowym.

— Dałbym dziesięć tysięcy dolarów, by ich słyszeć! — szepnął Julian Maixent do ucha Smithowi.

Nie spuszczał też swego bystrego i przenikliwego wzroku z postaci tych dwóch ludzi. Z twarzy ich jednak nie można było się domyśleć, o czem rozmawiają. Zwłaszcza twarz Maksyma Dureta nie wyrażała żadnego uczucia; Karol Turner miał zaś na ustach tylko lekki, przymuszony uśmiech, który świadczył o pewnym niezadowoleniu.

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał filantrop.

— To wszystko? Co takiego? — odrzekł Panajon.

— Przedewszystkiem te artykuły w dziennikach!

— No więc co?

— Czyś pan zwaryował, że ogłaszasz takie rzeczy?

— Ależ ja nic nie dawałem do ogłaszania!

— Dziennikarze wymyślili sławne pańskie pochodzenie, że pan przybył do Europy, by zakładać trust czekoladowy i że miał pan zamienić z Piotrem Cartellegue'iem ośm kul na dziesięć kroków?

— Tak, oni wymyślili — potwierdził Panajon. — Czy pan ma jeszcze jakie złudzenia co do prasy?

— A ta historia z krwią królewską, która płynie w pańskich żyłach? To także tylko dziennikarze opowiadali podobne bajki? A to popisywanie się z swą celnością?

— Lecz co tu jest w tem złego?

— Złego? Pan tego nie widzi? Ależ Paryż nie będzie się niczem więcej teraz zajmował, jak tylko panem!

— Właśnie tego chcę.

— I prawdziwy Karol Turner dowie się o tem, co tu się dzieje na jego konto!

— Ach! Jest więc prawdziwy?

— Tak... Na szczęście bawi on teraz w Rosyi i wyjeżdża na Syberyę... dokąd odgłosy z Paryża nie dochodzą...

— A więc czego się pan boi?

— Odgłosy z Paryża nie dochodzą tam, jeżeli nie są zbyt głośne... Lecz to, co pan tutaj wyprawia, rozejdzie się po całym świecie aż pod bieguny!... I nagle zjawi się tutaj Karol Turner, by dowiedzieć się, kto i w jakim celu przybrał sobie jego nazwisko?

— Tak, to prawda... Byłoby to niezwykle śmieszne...

— Śmieszne? Pan uważa to za śmieszne? A co by pan wtedy uczynił?

— Nurka, ma się rozumieć. I panu nic innego nie pozostawałoby do zrobienia.

Mimo całego panowania nad sobą i mimo, że

czuł i wiedział, iż jest obserwowany, Maksym Duret nie mógł powstrzymać wyrazu zmieszania na swej twarzy. Zachował ten sam spokojny i łodowaty ton, zmienił za to temat.

— Otrzymałem pański raport o śledzeniu panny Dubois — rzekł. — Czy jest pan pewny ludzi, którzy to robią?

— Tak, o ile można być pewnym szpicli — odparł Panajon. — Zwróciłem się do jednego z najlepszych biur... Przychodził do mnie sam dyrektor biura... Jest to opryszek niepośledniej miary... Zdaje mi się, że dobrze płacąc, będziemy mogli być pewnymi... Ach! a propos! Wynosi to sto franków dziennie... zapłaciłem za tydzień naprzód... Winien więc mi jest pan siedemset franków.

— Pańska agencja należy do dość kosztownych!

— Uważa pan, że to jest drogo?

Dla Panajona wszystko było tanie.

— Dosyć! — przerwał Duret. — Mniejsza z tem! Główną rzeczą jest, abyśmy mieli dobrych agentów.

— Dyrektor zapewniał mnie, że wybrał najrzeczniejszych ludzi. Jest ich dwóch, jeden ciągle na ulicy, by śledzić pannę Dubois, a drugi zamieszkał na strychu koło jej pokoiku... Pierwszy ciągle nad nią czuwa i tylko od czasu do czasu idzie do winiarza naprzeciwko, nie tracąc ani na chwilę z oka domu, gdzie znajduje się pralnia... Drugi mieszka na jednym z nią korytarzu i nie rusza się z niego, obserwując przez uchylone drzwi jej pokój. Żaluję tych obu ludzi, zwłaszcza tego ostatniego, który za jakie pięć franków dziennie, musi w ten sposób odbywać prawdziwie więzienną karę... Lepiejby zrobił, gdyby się wziął do kradzieży, zamiast trudnić się podobnymi rzeczami!

— Przejdźmy do czego innego — przerwał Duret. — Czy pan dawał już z nowego mieszkania bieliznę do prania?

— Nie wiem — odrzekł Panajon zdziwiony podobnem zapytaniem. — Euzebiusz tem się zajmuje...

— Euzebiusz?...

— Mój służący...

— Ach! tak!...

— Ale zaraz... Zdaje mi się... Tak, tak, rzeczywiście! Euzebiusz dawał koszule... Przypominam sobie, że pralnia znajduje się przy ulicy du Rocher...

— A czy już panu odniesiono te koszule?

— Nie. Przychodzili tylko po nie.

— Kto przychodził?

— Jakaś młoda praczka.

— Widział ją pan?

— Owszem.

— Jak wygląda?

— Jakto, jak wygląda?

— Brzydka, czy ładna? Młoda zupełnie, czy starsza? Blondyna? brunetka?

— Aha! Zaraz sobie przypomnę... Tak... tak... Rzeczywiście, bardzo przystojna! Uroczą brunetką!

— Na ile lat wygląda? Piętnaście? Dwadzieścia?

— Na więcej, niż piętnaście, a mniej niż dwadzieścia.

— Bardzo dobrze! Wie pan, co ma pan teraz czynić?

— Nie...

— Postara się pan, by ta mała przychodziła do pana jak najczęściej zabierać bieliznę i odnosić ją stąd... I tak się pan urządzi, by przyjmować ją w domu... Rozumie pan?...

— Rozumiem.

— I będzie pan eleganckim?

— O, tak!

— Dobrze, tylko zrozumiejmy się! — mówił dalej Maksym Duret. — Mówię, elegancki! nie więcej! Niech ona w dalszym ciągu pracuje skromnie w swej pralni, tylko w danej chwili niech będzie gotowa rzucić tę pralnię dla pana... Pojmuje pan?